

Płomień w kamieniu

31 sierpnia 2014

Susza podkraǳła się do Wilżyńskiej Doliny niepostrzeżenie. Z początku wszystko zapowiadało się znakomicie. Słońko przygrzewało, owce okociły się jak nigdy dotąd, a drzewa w sadach pokryły jasnym kwieciem. O brzasku gospodarze wychodzili na gumno i, wsparłszy się pod boki, spoglądali z dumą na świeżą ruń na polach. Tak minęła pora przymrozków i wiosennych zawieruch. Stare baby obwieszały figury w świątyni wieńcami z coraz to jaskrawszych kwiatów i w parne wieczory zbierały się w kruchcie na nabożeństwach, żeby wybłagać u bogów dobry urodzaj. Ale nie przykładały się do nich za bardzo. Bo letnie dni przesunęły się tego roku tak gładko, tak leciuchno jak modlitewne paciorki. I trudno było uwierzyć, żeby się miały z nagła bezpowrotnie zasupłać.

Aż tu skwar uderzył w Dolinę, nakrył ją bezlitosną, rozżarzoną czapą.

Może zawiniła Miłka, która – utrudzona codziennym szpiegowaniem bliźnich – zwykła przesypiać na stołku w kruchcie litanie do Cion Cerena?

A może stało się tak za przyczyną Honorci, która tak ochoczo zadzierała spódnice na znak świeżo osiągniętej dorosłości, że ażnockami po stodołach huczało, a wędrowni pachółkowie chodzili jak oczadziali i z byle czego brali się za łby?

Albo całego nieszczęścia przysporzyła Kordelia, otłukłszy małżonka, zbójcę Waligórę, przetakiem po pysku, jako że ten po drodze z jarmarku w gospodzie przystanął i tak tam długo popasał, póki nie przepił gotowizny za dwa piękne byczki?

Nikt nie umiał zgadnąć. Dość, że pewnego ranka zacnych wilżyńskich obywateli gorąc obudził tak paskudny, że zrazu tylko leżeli w posłaniach, łowiąc ustami powietrze jak ryby wyrzucone na brzeg. Bydło po oborach ryczało żałośnie znad

pustych poideł. Świnie pochowały się w najciemniejszych zakamarkach chlewów. Kury drzemały na żerdziach, wcisnąwszy głowy pod skrzydła, bo w swoich kurzych rozumkach wierzyły nieprzeparcie, że jeśli coś im zniknie z widoku, to już tego nie ma.

Upał jednakże pozostał, nawet kiedy utrudzeni gospodarze powlekli się wreszcie do gospodarskich zajęć, i trwał, kiedy pod wieczór zwalili się w piernaty u boku małżonek. A następnego dnia wrócił, jeszcze bardziej dotkliwy. I kolejnego dnia także. Potem zaś jeszcze raz i znowu, i tak dalej, bez końca.

W niedzielę pleban grzmiał z ambony o nieprawościach i grzechach, które sprowadzają na bezbożników pomór i nieurodzaj. Trzódka słuchała go w zobojętnieniu, sapiąc i dysząc z gorąca. Kamienne mury nagrzały się jak wewnątrz pieca i myśli przesypywały im się w głowach jak popiół.

– Mógł się pleban bardziej postarać – sarknął Szyszek, kiedy zgodnie z wiejskim zwyczajem gospodarze po sumie udali się do gospody, żeby splukać z siebie nadmiar świątynnych komunałów.

– Procesję jakąś odprawić albo figurę obstałować. Od tego przecież jest, żeby nam boską przychylność zaskarbiać.

– A tam, pleban. – Stary Osek byłby splunął na znak pogardy, ale mu w gębie zaschło. – Gdzie mu teraz o bogach myśleć, księżówkę musi se nową postroić.

Istotnie, po powrocie ze Spichrzy czcigodny duszpasterz gorączkowo zakrzętnął się wokół swej doczesnej wygody: domostwo sobie rychtował w miejsce tego spalonego przez grasantów, pola w pacht puścił co zasobniejszemu kmięciu i jął na potęgę dzieciom błogosławić i małżeństwa wiązać, żeby jak najszybciej nadrobić kilka lat nieobecności – i pobrać stosowne opłaty.

– Trza z Rozalką pogadać – zdecydował Szyszek, który jako najzamożniejszy gospodarz w Dolinie rościł sobie prawo do

decydowania o sprawach społeczności. – Już ona plebana rozrusza.

– No, tyle zawsze potrafiła – mruknął ktoś po cichu i bardzo z ostrożną, bowiem w wilżyńskiej wiosce nie wypominano bezceremonialnie drobnych księżych przywar.

Poza tym księża gospodyni była niewiastą pocziwą i z dziada pradziada wilżyńską wieśniaczką. Nosiła się skromnie, o przybytek dbała i miała dość rozsądku, żeby nie powić żadnych bękartów, który by się pętały po świątynnej nawie, kłując sąsiadów w oczy. A jeśli nawet ukradkiem czcigodnemu duszpasterzowi dogadzała pod pierzyną, wilżyński ludek przymykał na to oczy.

– Chłop jest chłop i musi swojego użyć – rozstrzygnął jaśnie władyka, zanim tak nieroztropnie wyruszył na wojnę i zniknął na dobre. – Lepiej już tak, niżby miał po stogach dziewuchy rozprawiczać.

Cóż, władyka cenił swoje feudalne prerogatywy i nie pozwalał nikomu ich naruszać.

Rozalka trwała więc na księżówce, równie niewzruszona jak Pał, Mnich i Maczuga, trzy szczyty, których białe czapy górowały nad Wilżyńską Doliną. Ona też odemknęła drzwi, kiedy delegacja gospodyń przydreptała pod wieczór, żeby błagać o pomoc. Rozsiadły się wokół kuchennego stołu, przekąsiły ciastem, nalewką na jagodach przepiły i nawet przez jakiś czas jakby lżej im się oddychało, bo Rozalka była wyśmienitą gospodynią i nalewki nastawiała siarczyste.

– Trzeba będzie pola poobchodzić – oznajmiła plebanicha wieczorem, kiedy duszpasterz gramolił się mozolnie do łóżka.

Bo łóżko mieli wysokie, z siennikiem świeżo wypchanym i dobrym tuzinem poduch, obleczone w bieluńskie poszwy. Rozalka uważała, że kapłan musi mieć swoją godność, choćby i w pościeli.

– Z procesją, świecami, kadzidłem – ciągnęła, a pleban, umordowany, wycierał pot z gęby szlafmycą. – Ludziska ze strachu się burzą. Jagnięta padają jak muchy...

– Osęk dwa udźce dziś przyniósł. – Mimowolnie mlasnął, bo uwielbiał jagnięcinę.

– To nie na wiele się przyda – sarknęła ze złością Rozalka, która nie lubiła, gdy łakomstwo brało górę nad rozumą. – Jeśli nie zelżeje upał, stada w trzy niedziele wyzdychają.

Pleban podkasał koszulę i wachlował się nią zajadle. Miał wrażenie, że od gorąca zetną mu się oczy.

– Przegonią mnie po wzgórzach – jęknął w końcu boleśnie.

– I to w paradnej szacie – zgodziła się Rozalka, która pięknie wyszywała, zwłaszcza srebrną nicią, i lubiła się popisować swą sztuką. – Z obrazem, kadzielnicą, jak trzeba. Wtedy bogowie na pewno nas wysłuchają.

Jednakże podczas ostatniej wojny bogowie najwyraźniej przygłuchli nieco od ludzkich wrzasków, bo tym razem nie przychyłili ucha plebanowi, choć, trzeba przyznać, śpiewał całkiem donośnie, kiedy pagórek po pagórku, zagon po zagonie święcił dobytek wilżyńskich gospodarzy. Nikt nie mógł mu wyrzucić niedbalstwa. Ugiął się tak dalece, że zezwolił z każdego poletka kęs ziemi wykopać i do świątyni zanieść, aby tam jeszcze skuteczniej nasączyć ją świętą mocą. I nawet nie wołał wziętków.

Jednakże stare sposoby, dotąd niezwykle skutecznie przeciwko pladze robaków i pypciom na krowich ogonach, zawiodły całkowicie w obliczu suszy. Słońce nie zachwiało się na nieboskłonie, wiatr nie przywiał ani jednej chmurki, a żar lał się nieustannie na ziemię, nawet dotkliwszy niż wcześniej.

– Boście są plugawce przebrzydłe! – darł się nieustępliwie pleban, gdy w kolejną niedzielę parafianie stawili się w

świątyni, nieco bardziej spoceni i ponurzy niż zwykle. – Ja sobie gardło wypruwam, krwi serdecznej nie szczędzę, a wy co, kurwie syny? Wciąż po cudze sięgacie, przysięg nie szanujecie, obyczajności nie znacie...

Gospodarze chętnie by się zdrzemnęli pod kołderką plebanowych wyrzekań – powtarzał je tak często, że ich strach całkiem stępiał – gdyby nie skwar, który zdawał się narastać z każdym słowem. Wiercili się zatem, kręcili, jakby ich pchły oblażyły. Strach kasał jeszcze dotkliwiej, więc zaraz po nabożeństwie podyrdali do karczmy, żeby tam wspólnie uradzić, jak nieszczęściu zapobiec. Chociaż, co wkrótce wyszło na jaw, właściwie wcale nie chodziło o ratowanie wioski, tylko o demokratyczne i natychmiastowe wyznaczenie winnych. W tej mierze Wilżyńska Dolina nie różniła się od reszty świata.

– Baby chłopów nie szanują – rozpoczął sędziwy Kulas, któremu z racji wieku przypadał zaszczyt zainicjowania biadoleń nad powszechnym upadkiem obyczajów. – Dzieci rodzicom czynią na przekór. Dziewki o przyzwoitości nie pamiętają, cały dzionek się włóczą w sukni ledwo krok zakrywającej.

– To z gorącości. – Doliba uśmiechnął się z rozrzewnieniem, bo nie podzielał oburzenia starszyny. – Trza się czasami ochłodzić. Na ten przykład Honorcia...

– A zawrzyj ty ryj, głupi! – huknął ze złością Szyszek, bo wcale nie był ciekaw, co też o jego córuchnie ma do powiedzenia wiejski głupek.

Wystarczy, że inni gospodarze unikali jego wzroku, a niektórzy z co młodszych pozwalali sobie nawet na drobne, niewątpliwie złośliwe uśmieszki. Szyszek naburmuszył się, a jego krągłe, nalane oblicze jeszcze bardziej poczerwieniało. Oczywiście od gorąca.

– Dziewki to dziewczki – przemówiła wreszcie mądrość ludu w osobie Kulasa, który rozumiał wyśmienicie, że nie należy poniewierać najbogatszego wilżyńskiego obywatela, choćby jego

córka naprawdę pokładała się na każdym snopku. – Muszą się wyszumieć i krzywdy w tym nijakiej dla nikogo nie ma.

– No, chyba że zagrodniczki zacnych mężów rodzin bałamuca – poparł go nader gorliwie Szurlej, najbliższy sąsiad Szyszka, który wprawdzie nienawidził go serdecznie, ale też miał córkę.

– Albo jakieś powsinogi obce – dorzucił Osęk, żeby temat zamknąć. – Wszystko złe z daleka idzie.

– Z miasta! – poparł go entuzjastycznie Szyszek, który wzbogaciwszy się niezmiernie pod nieobecność władzy, stał się najgorliwszym wilżyńskim patriotą. – U nas ludzie dobre, spokojne, pokój miłujące. A tam jeno waśnie, gwałty, zachłanność i bezbożność zuchwała.

– Rabunki! – Szurlej z oburzeniem wniósł tłusciutki palec i zerknął znacząco na świeżych współobywateli.

Nowi osiedleńcy, zegnani do Wilżyńskiej Doliny przez wiedźmę, skupili się wokół Waligóry, niegdyś osławionego zbójcy, podczas gdy niedobitki wieśniaków, którym udało się przeżyć rozliczne wojenne niepokoje, ciążyły raczej do Szyszka. Teraz te dwa rodzaje kmieci – mniej lub bardziej dobrowolnych – popatrywał na siebie spode łba, bo żadne nakazy i przykazy wiedźmy nie mogły pokonać nieufności, jaką czują wobec siebie wilk i owca, choćby był nią stary, uparty baran. Do broni nikt nie sięgał, bo wiedźma obiecała, że skręci kark pierwszemu, który wyciągnie nóż na ziomka, i bardzo skrupulatnie opisała, jak karkiem będzie kręcić. Ale po zachmurzonych mordach, po palcach nerwowo bębniących na blatach dało się rozeznać, że niechęć buzuje w tej izbie jak chlebowy zaczyn w dzieży.

– Znaczy się, poborcy! – ryknął triumfalnie Doliba.

W karczmie jakby pojaśniało. Oblicza – te po zbójceku wąsate i te po gospodarsku tłuste – rozpogodziły się na wspomnienie wspólnego wroga.

– Ano, oczywista, że poborcy – zgodził się z ulgą Szurlej.

Jako człek roztropny bynajmniej nie palił się do zwady z bandą łupieżców, dezterterów oraz podpalaczy.

– Ani chybi poborcy – potaknął z lisim uśmieszkiem łysy Kowlik, który całkiem niedawno wraz z kamratami pustoszył okolicę.

– Tyle że ich tu, ziomkowie moi, ładnych parę zim nie oglądano – burknął pod nosem Kulas.

Ot, stary był, nie rozumiał, kiedy należy przestać.

– Ale pleban też nie nasz – wyrwał się w rozpaczliwej próbie ratowania sytuacji Doliba.

Gospodarze popatrzyli na siebie z politowaniem. No, ale czego można oczekiwać od wiejskiego głupka? Zwłaszcza przyjezdnego?

– Jaki tam pleban nie nasz – Szyszek wzruszył ramionami – kiedy jego rodzina z dawien dawna pod Palem siedzi?

– Ajuści – włączył się Szurlej, który jako prawie najzasobniejszy kmieć w Dolinie bardzo nie lubił, gdy go pomijano. – Do klasztoru go jeno słali, coby się pieśni wyuczył i co tam świątynny wiedzieć powinien.

– Wszystko na psy schodzi. Z wieśniaków robi się mnichów. Nic dziwnego, że nawet na upał nic poradzić nie umie – mamrotał jeszcze Kulas, ale wnet go uciszono, wspólnym wysiłkiem wepchnąwszy mu w gębę kęs chleba.

– A może to więdźmy wina? – rozległ się czyjś przenikliwy szept.

Wieśniacy – i ci co bardziej zbójeccy, i ci co bardziej chłopsy – podskoczyli nerwowo na zydlach i na wszelki wypadek rozejrzeli się. Niby więdźma wierzyła w popuszczanie łańcucha i czasami na całe tygodnie znikwała z Doliny, a teraz wypuściła

się aż do targowego miasteczka, wynajęła najparadniejszą izbę w gospodzie i zabawiała się tam z wolarzami, że aż się próchno z powały sypało. Jednak z Babunią Jagódką nigdy nie wiadomo. Po ścianach łaziły przecież karaluchy, muchy bzyczały nad stołami – a skąd poczciwy kmieć ma wiedzieć, czy któreś z nich nie jest akurat na usługach wiedźmy i nie doniesie co do słóweczka?

– Głupiś! – rzucił wreszcie Szyszek, kiedy cisza stawała się zbyt długa. – Na cóż miałyby nas wiedźma suszą prześladować, skoro tak się mozoliła, żeby wioskę z ruin podnieść? Sił ni trudów nie żałowała, żeby nam nowych obywateli przysporzyć.

Waligóra z kwaśnym uśmiechem skłonił głowę. Niby od małżeństwa z Kordelią, wdową po młynarzu, powodziło mu się świetnie, ale jakoś nie mógł wybaczyć wiedźmie, że zaklęciem zamknęła mu drogę powrotną z Doliny. Zrozumiał już, że przeciwko jej mocy nic uczynić nie zdoła, i spokorniał nieznacznie. Ale złośliwi gadali, że kiedy sobie popił, rwał przed siebie na oślep, po lasach, po wądołach, byle się wydostać na odległe, swobodne trakty, gdzie więdła w samotności jego zbójcka sława.

– Aliści – znowu odezwał się Kulas – coś jest na rzeczy. Onegdaj parobka spotkałem, co za robotą wędrował, i ten mi, niecnota, nagadał, że ledwo dwie doliny dalej na łąkach ruń zielona, a zboże tak wybujałe, że nad głowę sięga. Suszy nijakiej nie mają, w nocy deszczyk pokropi, za dnia słońko przygrzeje, wszystko rośnie jak wściekłe.

Gospodarze zachmurzyli się natychmiast. Już własne nieszczęście gryzło ich jak robak, ale wieść o cudzym powodzeniu sprawiała, że odczuwali je po dwakroć dotkliwiej.

– At, z niecnoty nagadał – prychnął wreszcie Włokita. – Żeby nam wszystkim dokuczyć.

– Ci wędrowni parobcy. – Szurlej lekceważąco machnął ręką. – Nie można im przecież wierzyć.

Ziarno zostało jednak zasiane. Kmiecie kręcili się nerwowo. Niby wciąż gwarzyli, lecz popatrywali na siebie niespokojnie i jakby z wyczekiwaniem. Nowina, że susza dotknęła jedynie Wilżyńską Dolinę, wymagała przetrawienia. A trawienie wymagało piwa. Znacznie więcej piwa.

W dwie beczki później obywatele wioski byli nadal przekonani, że nieszczęście spadło na nich niesprawiedliwie. Niestety, nadal też nie umieli znaleźć jego przyczyny. A w każdym razie takiej, która by nie prowadziła do mordobicia.

– Obcy, wszystko przez obcych – powtarzał Kulas, w którym nadmiar trunku tylko wzmacniał starczy upór. – Kurwie syny, zaprzańce...

Waligora przycinał sobie sztyletem paznokcie i wyglądał tak, jakby go miał zamiar zaraz w innym celu użyć.

– Ale nie przez naszych obcych – łagodził sytuację Szyszek, który od wypitego piwa rozrzewnił się i rozczulił – jeno przez tych...

– Obcych – dokończył z mocą Szurlej, po czym przepił do znienawidzonego sąsiada.

– Jeno w tym rzecz, że obcych nie ma – wtrącił wiejski głupek.
– Wszyscyśmy tu są swoi.

Więcej powiedzieć nie zdołał, bo ktoś, zniecierpliwiony, w łeb go solidnie zdzielił.

– Jak to ma nie być – uśmiechnął się po wilczemu Waligóra – kiedy są.. Wystarczy dobrze poszukać.

* * *

Wilżyńscy obywatele zabrali się do poszukiwań z rozmachem i niezwłocznie, rzecz należało bowiem rozstrzygnąć, zanim się wiedźma znudzi wywczasami. Następnego dnia, ledwo się otrząsnęszy z przepicia, wymaszerowali z obejść, uzbrojeni w

cepy, siekiery i widły. Potężny zbój kroczył na czele wieśniaczej gromady i wykrzykiwał rozkazy tak rześko, jakby znowu prowadził swych kamratów na godziwe zbójectwo. A wyglądał tak groźnie, że pleban nie postraszył ich boskim gniewem, kiedy przetrząsali kolejno szopki, drewutnie i szałas na obrzeżach wioski. Dobrodziej nakrył się pierzyną, poduchę na łeb naciągnął i udawał zażarcie, że nie słyszy pokrzykiwań parafian, plądrujących świątynny kurnik i obórkę. Potłuczone jajka mógł ostatecznie przeboleć. Gorzej by było, gdyby jakiś zajadły chłopina jego po mordzie otłukł.

Kmiecie narozrzucali siana, nioski przerazili śmiertelnie, wznieśli kilka nader niegodnych okrzyków, po czym jak wielogłowe, rozjuszone zwierzę powlekli się dalej przez Wilżyńską Dolinę.

– Podrą się, podrą i wrócą z podkulonym ogonem – burknął proboszcz, który czuł, że skwar wystawia jego autorytet na szwank, i z całego serca życzył Waligórze klęski.

Omylił się jednak. Ledwo bowiem słońce jęło się w czerwonej sukience chylić między szczyty, wiejska gromada na nowo wychynęła ze świerczyny, bujnie porastającej skraje ścieżki. Mrużąc oczy, baby jęły wychodzić na przyzby i spojrzeć ciekawie na powracających. Ci zaś pokrzykiwali butnie, potrząsali kosami, zupełnie jakby mogli nimi dosięgnąć rozżarzonej słonecznej kuli.

Coś jednak udało im się pochwycić. Tak, tak, bez wątpienia. Zrazu trudno było spostrzec, co też takiego pędzą, kłując to raz po raz szydłami i kopniakami popychając między sobą. Tuman wyschniętego kurzu wisiał pomiędzy nimi, więc wieśniaczki dostrzegły jedynie ciemny, niewyraźny kształt, niski i przykurczony w gromadzie postawnych mężczyzn.

– Barana znaleźli czy świnie? – zastanawiał się pleban, który również uległ powszechnej ciekawości i stał teraz na progu księżówki, osłaniając oczy od blasku.

Chłopi tymczasem przybliżali się rażno ku wiosce. Ledwo przekroczyli bramę, ich zdobycz nabrała człowieczych kształtów, choć nadal truchtała zwierzęcym sposobem, na czworakach, i nie sposób było dopatrzeć się, kogo to dokładnie ułowił Waligóra. Zbój zaś kroczył na czele pochodu, bardzo z siebie kontenty, i z dumą dzierżył w garści sznur, którym obwiązano szyję ofiary.

– A wy się kuda pchacie? – Pleban zastąpił mu drogę u wejścia do świątyni i wsparłszy się pod boki, nieprzychylnym wzrokiem mierzył dawnego grasanta.

– To świątynna sprawa. – Waligóra szarpnął postronkiem i przyciągnął do siebie więźnia.

Oberwaniec krztusił się i dyszał, bo sznur boleśnie wpijał mu się w gardło, i nogami w piasku wierzgał, na darmo usiłując się dźwignąć, bo ledwo co stanął, zbój go na nowo obalał.

Chłopi rechotali. Wręcz biło z nich samozadowolenie, a i skwar jakby mniej doskwierał.

Ich zdobycz nadal pełzała, oślepiona pyłem, póki Waligóra nie ucapił jej za łeb i nie ściągnął kaptura.

Pleban załamał ręce.

– Coście tu sprowadzili? To świątynia, nie zamtuz.

Kobiecina na sznurku rozpłakała się. Rzadkie siwe włosy opadły jej na twarz. Usiłowała na oślep podpełznąć do dobrodzieja, widać rozpoznawszy w nim po głosie kogoś znaczniejszego i skłonnego do miłosierdzia.

– Litości, wasza łaskawość – zaskomlała piskliwie. – Ja nie winowata.

Chłopi zaszumieli wrogo, aż się pleban cofnął. Waligóra tylko się uśmiechnął.

– We Wdowim Lasku my ją zdybali – rzucił od niechcienia, żeby świątynny nie myślał, że się przed nim tłumaczy. – Przy ogniu czary odprawowała.

– Rybęm sobie piekła! – zaskowytała babina. – Nic żem nie pobroiła.

– Coś ją u nas ukradła – syknął młynarczyk, który bardzo nieprzychylnie patrzył na kłusowanie we stawie.

– Ale to z głodu, z głodu – płakała stara.

– Kłamie – uciął Waligóra, tak podkreśliwszy powróstem, że baba w pół słowa zmiłkła, bo jej oddechu zabrakło. – Kukły w ogniu paliła i insze świństwa bezecne.

– I dla tej przyczyny Kii Krindar nas ogniem z nieba prześladuje – poparł go Doliba z dumą człeka, który rozwiązał zagadkę, nad którą się wielu głowiło.

– Trza babę ogniem połechtać, wnet wszyściutko na jaw wyjdzie – dorzucił światowym tonem Ortyl.

Widywał wcześniej na pogórzcu, jak kaci heretyków przypiekali, żeby z nich prawdę wydobyć, i uważał, że jest to sposób niezawodny a prosty.

– Ale od świątyni wara! – rozdarł się pleban. Roztropnie puścił mimo uszu wzmiankę o Kii Krindarze, ale nie zamierzał dozwolnić, żeby mu się chłopstwo szarogęsiło przed ołtarzem. – Nie będzie mi tu rakarstwa.

– Kiedy to świątynna sprawa. – Waligóra uśmiechnął się bardzo nieładnie. – I baba przeciwko bogu zgrzeszyła.

– Ja jeno za łaskawym chlebem chodzę – zawodziła tymczasem staruszka.

– Ajuści. – Mały Sułek kopnął ją potężnie, rozjuszony ewidentnym kłamstwem. – Na żebry do wioski się idzie, a nie po

chaszczach czatuje.

I znowu wieśniacy zgodzili się zgodnie. Co jak co, ale w jałmużnikach mieli należyte rozeznanie bo się ich po wojnie namnożyło ponad miarę, a im więcej ich po leśnych drózkach kręciło, tym mniej ich wylewnie w Wilżyńskiej Dolinie witano. Nikt nie miał chleba na zbyciu, a i widok nędzy przykrzył się szybko bogobojnym kmieciom.

– Na pewno ktoś ją tu nasłał. – W chytrym umyśle Szyszka zakiełkowało nowe podejrzenie. – Ani chybi ci z Pszczyny...

– Albo od Jasnego Potoka – dorzucił nieufnie Szurlej. – Jakem tam na jarmark zajechał, ogony, ścierwa, kobyłkom moim pourzynali.

Jego sąsiedzi natychmiast przyłączyli się do zabawy, na wyprzódki rzucając nazwy okolicznych osad i przysiółków. Historia sąsiedzkiej nienawiści trwała tu od zawsze i żadna wykradziona owca ani zbałamucona baba nie szły w niepamięć.

– Z zazdrości, że nam się wiedzie – podsumował Doliba. – Tak nas chcieli pogłębić.

– No i wszystko wiadomo – rzekł z satysfakcją Waligóra.

Z nieodgadnionego powodu zdawał się świetnie bawić, choć gębę trzymał srogą, zmarszczoną i gniewliwą. A kmiecie, że mu chcieli dorównać, natychmiast jęli wnosić okrzyki, domagając się kaźni nad babą.

– To ją przy studni sprawcie – skapitulował pleban.

Mieszkał w Wilżyńskiej Dolinie dość długo, by wyśmienicie pojmować, że nie ma co iść na przekór powszechnemu entuzjazmowi.

– Coby się na nas Kii Krindar jeszcze bardziej rozszerdził? – Odął się natychmiast Szyszek. – Ani mowy nie ma.

Pleban skrzywił się boleśnie. Znów to przeklęte miano. Niby wiedział, że kmiecie pokątnie ciążyli ku dawnym gustom, lecz dotąd nikt mu się nie ośmielał prosto w gębę gadać o zaginionym bogu. A dzisiaj wszystko szło na opak, jakby chłopstwo zapomniało ze szczętem o przyrodzonej pokorze.

– Tu trzeba z ceremonią – oznajmił z namaszczeniem Doliba, który, jako że parał się grabarstwem, uważał, że zna się i na świątynnych sprawach. – Na poświęconej ziemi.

– Gdzie ogień Kii Krindara płonął – poparł go natychmiast Mały Sułek, który z dziada pradziada żyjąc w Dolinie, znał pradowne zwyczaje. – Gdzie mu ofiary składano.

– Ale już nie płonie! – rozdarł się pleban, który był człkiem łagodnym i gołębiego serca, lecz nie zdzierzył bluźnierstwa. – Nie masz Kii Krindara, precz sobie z gór poszedł i nigdy się nie wróci!

Przed świątynią zapadła głęboka cisza. Nawet żebraczka roztropnie zamilkła i jakby z zaciekawieniem czekała, co się teraz zdarzy.

Pleban ani sapnął, gdy wielka, ciężka łapa Waligóry spadła mu na ramię.

– Wy, mości dobrodzieju – odezwał się zbój po cichu i tak dobrotliwie, że aż mości proboszcza ciarki po grzbiecie przeszły – odpocząć ździebko musicie. Upał wam bez wątpienia zaszkodził. – Ujął oniemiałego dobrodzieja i delikatnie, lecz stanowczo prowadził go do drzwi plebanii. – Wypoczniecie w księżówce, a jutro będzie jak zawsze. – Wepchnął go do środka, drzwi kijem starannie podparł, a następnie otrzepał ręce. – A teraz brać się do rzeczy.

Z Rozalką nie poszło tak łatwo. Powitała kmieci w kruchcie w swoim najbielszym, wykrochmalonym fartuchu, oparta o chrzcielnicę i bardzo nieprzychylna.

– Będę się jeno przyglądać – ucięła w zarodku protesty. – Żebyście nie spalili świątyni i nie naświnili nad miarę. I wszystko dobrodziejowi powtórzę – dodała tonem pogroźki, po czym odsunęła się, dając im przejście do środka, i zastygła pod ścianą, z rękami gniewnie splecionymi na brzuchu.

Kmiecie spojrzeli niepewnie na Waligórę, ale przywódca polowania tylko pogardliwie fuknął. Nie chciało mu się marnować czasu na swary z plebanową kobietą.

Żebraczka, widząc, że się tu na ratunek nie zanosi, rozpłakała się na nowo.

– Ogień mi prędko rozniecać – rozkazał Waligóra.

Rozalka z zajadłą miną spoglądała, jak Mały Sułek bez nijakiej ceremonii taszczy na środek świątyni trójnog, w którym palono wonne zioła na chwałę Cion Cerena, był on bowiem panem łagodnym i krwi w swoich przybytkach nie żądał. Nie ośmieliła się jednak oponować. Nie, Rozalka dobrze rozumiała, kiedy należy ustąpić przed przemocą.

Żebraczka zaczęła przeraźliwie zawodzić.

Suche gałązki zatrzeszczały w ogniu.

– Ze szmat ścierwo obedrzeć – rzucił Waligóra.

Mały Sułek i Doliba przyskoczyli do starej, połączeni żarliwą gorliwością, choć zwykle niezmierna przestrzeń dzieliła syna zasobnego kmiecia, brata zwycięzcy smoka, od pospolitego rzezimieszka, z woli więdźmy obróconego w wiejskiego głupka. Baba usiłowała wizgać, coś tam krzyczała do siebie, lecz tak ją gracko sprawiali, że słowa wraz z jej z gęby wyciekły razem ze strugą krwi. Chłopi pokrzykiwali gorliwie. Ogień trzaskał.

Aż nagle trzasnęło coś jeszcze. Zabłysło. Zastukało po posadzce.

Oprawcy znieruchomieli. Waligóra wybałuszył oczy.

Piękny, wypolerowany świecznik, kuty z litego srebra, toczył się po posadzce.

Pierwszy oprzytomniał Kowlik, łysy i pękaty dezenter z książęcego wojska, który w nieomylny sposób wynajdował w łopianach zabłąkaną kure i kark jej tak gracko skręcał, że ani nie pisnęła. Już po świecznik sięgał, już go za nóżkę chwytał, kiedy na naczynie spadła ciężka noga Rozalki w solidnym, podkutym trzewiku.

– A to nasze – oznajmiła z dumą Rozalka. – Nasz świecznik. Świątynny.

Istotnie, kiedy pierwsze oszołomienie przybladło, kmiecie rozpoznali lichtarz, który w największe święta kładziono przed figurą Cion Cerena.

Waligóra sposepniał. Prędzej u innych umiał dostrzec, kiedy coś idzie nie tak.

– A to złodziejskie ściervo! – wykrzyknął ze złością Szyszek, bo odkąd majątek zdobył, przestępstw przeciwko mieniu osobliwie go mierziły. – Świątynię nam okradła!

Starucha dygotała, usiłując zebrać na piersi potargany odziewek. Przez skórę przebijały ostre, ptasie kości ramion.

– Nie – odparł posępnie Waligóra. – Gdyby o rabunek szło jeno, więcej by nabrała, a ona tylko jedną rzecz wzięła.

– Na przeszpiegi tu przyszła! – wykrzyknął triumfalnie Szyszek, który, parając się handlem, myślał szybciej od innych.

– Ajuśli, że na przeszpiegi! – rozdarła się babina, nagle tracąc wcześniejszą pokorną pozę. – A żebyśta, ścierva, zdechli! Żeby wam słońce rozum do reszty wyjadło! – pomstowała nawet wtedy, kiedy Mały Sułek z Dolibą jęli ją kopniakami uciszać.

Oseć pokiwał głową. Jako człowiek bywały – bo owce po górach prowadzał i w niejednej wiosce popasał – lepiej od innych rozumiał, że jałmużnicy często wysługują się zbójeckim szajkom.

Nie umknęło mu też nerwowe przygryzienie ust Waligóry. Dawny herszt nigdy nie pogodził się z uwięzieniem w Wilżyńskiej Dolinie.

– Dla kogo po okolicy chodzisz? – zapytał schrypniętym głosem.

Byłoby pewnie lepiej, gdyby starucha zmilczała, lecz, sponiewierana nad miarę, chciała się oprawcom odgryźć i rychła pomstą w oczy im zabłysnąć.

– Strach cię zdejmuje? – zaśmiała się szydliwie. – Już portkami trzęsiesz? Na próżno, stary capie. Niech tu Siwień przyjdzie, a wtedy...

Waligóra przyskoczył do niej, na odlew ją w pysk trzasnął z taką straszliwą siłą, że coś w karku żebraczki trzasło. Zmiotczała i zamarła z szyją skreconą na ramię.

W świątyni zaległa przeraźliwa cisza.

– Pamiętam Siwienią – szepnął do siebie Waligóra i w tej chwili ani dbał, że dwa tuziny wieśniaków wsłuchują się w jego wyznanie. – Koni w obozowisku pilnował i pałkę za mną nosił..

Potem obrócił się na pięcie, twarz miał stężoną i obcą, i spieszenie wyszedł z świątyni.

Rozalka ostrożnie podniosła z ziemi świecznik i wytarła go w fartuch.

* * *

Nocą długo jeszcze niosły się po wiosce pijackie ryki rozochoconego chłopstwa.

– Coś trzeba będzie zrobić. – Rozalka zacięła ze złością

wargi.

Od strony cmentarza popiskiwała z uciechą wiejska ładacznicą. Szczerbata Kryśka miała dziś powodzenie, jakoby na jarmarku.

Mości dobrodziej głębiej wcisnął szlafmycę. Nie kwapił się do konfrontacji z podpitymi parafianami.

– Pohuczają i się rozleżą – burknął.

Rozalka fuknęła ze złością. Była rozsądną niewiastą i umiała przemykać oko, a nawet oczu oboje, kiedy jej wybranek boleśnie nie dorastał do swej świątynnej godności. Ale im bardziej wrzaski przybierały na sile, tym dotkliwiej doskwierało jej tchórzostwo plebana i na nic zdała się sentencja, którą przez lata dobrodziej wbijał jej do głowy, twierdząc, że człowiek księgi nie jest człowiekiem miecza.

Nad ranem demonstracyjnie zwlokła się z łóżka – pleban z zaangażowaniem udawał, że chrapie – i pozawierała wszystkie okiennice. Nie zagłuszyło to wprawdzie pijackiego rechotu Kryski, ale dało jej pewną satysfakcję. Niewielką. I kiedy kładła się przed brzaskiem na twardej, kuchennej ławie, tłukło się jej po głowie ponure podejrzenie, że mogła doprawdy lepiej pokierować swym losem.

* * *

O poranku walka ze skwarem rozgorzała na nowo, a tak zajadła, że przyłączył się do niej nawet stary Kulas, który jako posiadacz wozu i dychawicznej szkapy woził dotąd wodę w beczkach, biorąc za to grosz niemały. Bo studnie w Wilżyńskiej Dolinie wysychały jedna za drugą, za nic sobie mając biadolenia gospodyń. Struga tak zmizerniała, że ledwo na dnie ciurlikało nieco błotnistej, zmętniałej wody. Utopce, pomarkotniałe, przesiadywały na odsłoniętych kamieniach, mocząc nogi w błocie i nawet ochoty nie miały na zbytki. Słowem, nie działało się dobrze w Wilżyńskiej Dolinie, oj nie.

– A może by tak po wiedźmę posłać? – zagadnął Waligórę Osek.

Wiele gospodarskich twarzy stężało w wyczekiwaniu. Kmiecie z Wilżyńskiej Doliny nie doświadczyli grasantki na trakcie, nie cniło im się do podchodów, napadów i zasadzek.

Waligóra zmrużył oczy.

– A wyście kto są? Gospodarze czy obsmarkańce, co kiedy tylko bieda, do pani matki lecą, żeby się z płaczem poskarżyć?

Chłopi pospiesznie odwrócili wzrok. W Wilżyńskiej Dolinie niczego się długo nie dało ukryć przed sąsiedzkim wzrokiem, więc ucieczna historia, jak to wiedźma pojmała w jasyr zbójckiego herszta i obróciła w kochanka, wzbudzała w swoim czasie wiele wesołości, chociaż oczywiście nikt się Waligórze w twarz nie śmiał, bo grasant rękę miał ciężką. Wkrótce wszystko się zresztą rozdarło, bo Babunia Jagódka nudziła się łatwo i innych szukała rozrywek. Waligórze też nikt by nie wypominał, że go baba pod szarmem trzymała, gdyby się tak nie odymał i nie źlił, gdy tylko ktoś wspomniał mieszkankę ustronnej, leśnej chatki. Ale ponieważ wciąż źlił się i ryczał, śmiano się z niego po cichu.

Waligóra srożył się chwilę, gardziel jak ropucha nadymał, lecz skoro kmiecie milczeli zażarcie, ruszył z impetem przed siebie.

– Oj, lepiej byśta, chłopy, znaleźli kogoś przed zmierzchem – podsumował sędziwy Kulas – bo będzie straszliwa bieda.

Nic więc dziwnego, że kmiecie szukali gorliwie. Pod głązy zaglądali, wrony na drzewach płoszyli, chaszcze przetrząsali. Wszystko na darmo. Waligóra coraz bardziej się chmurzył, choć nikt ani słóweczkiem nie wspomniał już o wiedźmie. Sztyletem gałęzie chłostał, czekanikiem potrząsał, aż stało się oczywiste, że nie o suszę tu idzie i nie o poszukiwanie wroga. A w krzakach, jakoby na złość, nikogusieńko nie było.

Pod wieczór, zrezygnowani, powlekli się wioski. Waligóra szedł przodem, wyprostowany hardo, za nim dawniejsi zbójcy, a gospodarze na końcu, spozierając na siebie niepewnie. Każdy wiedział, że skoro nie przydybali obcego, wnet podejrzenie padnie na tubylca – i dobrze, jeśli tylko za niedbałość Waligóra go stłucze, a nie o niecne czary oskarży.

Szyszek człapał na końcu, a każdy krok dźwięczał mu w myślach jak srebrna moneta. Ufał, że nie ma takiego niebezpieczeństwa, którego by się nie dało szczerym srebrem przekupić.

Na szczęście tuż przed wioską coś zaszurało we stogu. Waligóra zatrzymał się natychmiast, przyczał tuż przy ziemi, zwinny i szybki jak drapieżnik. Pozostali kamraci rozsypali się wokół kopy siana, która szurała i chichotała rozpustnie, całkowicie niepomna, że wnet kres jej wesołości nastanie. Że zaś sianokosy były tego roku marne, skąpe, wyschłe źdźbła więcej odsłaniały niż osłaniały. Wystawała spomiędzy nich chuda noga, gęste czarne włosy i obnażony zadek, który gospodarze i zbójcy pospołu obserwowali przez chwilę w skupieniu i tylko im grdyki chodziły w rytm ruchów nieznanego.

Dziewczyna ocknęła się pierwsza. Dziewczyny zwykle orientują się pierwsze.

– On mnie, niecnota, zniewolił! – wykrzyknęła gromko, wyrывая się spod zaskoczonych chłopka i jednym susem zwinnego, młodzieńczego ciała przypadła do ojca.

Szyszek aż się zachłysnął. Nie wiedział, córkę zasłaniać czy na jej gacha nastawać, więc tylko trząsł się i sapał, jakby miał się zaraz od apopleksji rozpęknąć.

Ktoś litościwy podał Honorci sukienkę. Dziewczyna z nieśmiałym uśmiechem wdziała ją prędko, zwinęła bujne włosy w węzeł i skromnie spuściła oczy. I taka była pewna siebie i ładna, iż jasne było jak słońce, że nic jej się złego nie stanie.

Ale z jej miłośnikiem inaczej się rzecz miała, choć jeszcze

ani zrozumiał, w co się przypadkiem zamieszał. Gapił się na wieśniaków, usiłując przyoblec twarz w wyraz dobroduszości i stateczności.

– Sama do mnie przylazła – oświadczył, drapiąc się po piersi, pokrytej sierścią czarną i gęstą jak u kozła. – Chustkę chciała modrą i cudowny olejek, co nim się chłopów przywabia, jeśli się do małżeństwa nie kwapią.

– Toć łga, ścierwo kaprawe! – wybuchnęła dziewczyna.

Jej oczy jednak mimowolnie pobiegły ku kłębkowi błękitnej materii, która kokieteryjnie powiewała na stogowej tyczce.

Ten i ów uśmiechnął się pod wąsem. Honorcia zacna była dziewczyna, ale zupełnie nie potrafiła kłamać.

Obcy wyczuł chyba powszechną odmianę nastroju, bo wyprostował się hardo. Jakoś zbyt hardo.

– Więc powiadasz, że oleje święte rozdajesz? – zagadnął go jedwabistym głosem Waligóra.

– Ajuści – odparł przekupień, zadając kłam ludowym mądrościom, że w jego fachu grunt to spryt i wyczuwanie nastrojów klienteli. – Mam remedia niezawodne przeciwko parchom, na bezpłodność maści, pigułki od kłucia w boku i od piersiowej duszności. Mam na liszaje proszek, zioła niezawodne na krosty, spod szubienicy piołun, co przeciwko chrabąszczom najlepszy, oliwę przez mnichów święconą, żeby się w interesach szczęściło...

– A na suszę nic nie masz? – zagadnął z lekka Waligóra.

Handlarz się rozpromienił.

– A co bym nie miał mieć? – odparł chełpliwie. – Wodę ze świętego źródelka, co wedle opactwa bije. Jak tyłkom pod klasztorem posłyszał, że skwar tu w Dolinie straszny...

– A od klasztoru ciagniesz? – przerwał mu Waligóra.

Chłopina zamrugał ze zdumienia.

– Ano, dokładniusieńko stamtąd – przytaknął nieopatrznie.

Kmiecie ścieśnili się nieco wokół stogu. Nastroszyli kosy.

Przekupień gapił się na nich, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego powiało wrogością. Najwyraźniej nie popasał w okolicy wystarczająco długo, by wiedzieć, że opat rościł sobie prawa do Wilżyńskiej Doliny i niejedną raz wysyłał tutaj swych rządców, których chłopci przykładowie pędzili.

– A może to opat nabroił? – wyraził powszechną obawę Szurlej.

– Specjalnie tu kurewnika przysłał – Ortyl łypnął z niesmakiem na przekupnia – żeby się w naszym nieszczęściu rozpatrzył.

– Ano – poparł go Kowlik. – A skąd nam, niebogom, wiedzieć, czy mnisi suszy nie nasłali? Świątynni mają sposoby – dodał tonem człeka dobrze wiedzącego, co mówi, pochodził bowiem z przyklasztornej osady i w młodych swych lat nieraz zaznał szorstkiej opieki boga.

– Wyczekał, iżbyśmy zmiękli – włączył się natychmiast Włokita, który urodził się w Żmijowniku i czcił tamtejszą boginię, więc do Cion Cerena żadnego sentymentu nie miał – iżby nam upał dokuczył, potem zasię, co zesłał, tym samym czarostwem chciał cofnąć.

– Co wyście, dobrzy ludzie? – Handlarz wytrzeszczył oczy. – Szalejuście się opili?

– A ty się, kurewniku, nie wtrącaj! – ryknął Szyszek, po czym odtrącił córkę i iście lwią odwagą wezbrawszy, strzelił przekupnia w pysk. – Widzicie go, czarokrążcę! Dziewkę też pewnie omamił, czarem ją podłym zniewolił...

Honorcia, czując, że chwila odpowiednia, bardzo akuratnie

zaczęła ronić łezki. I tak to ładnie robiła, z taką niewinnością cichą, że aż się niejeden uśmiechnął.

Lecz tu nie było do śmiechu. W każdym razie nie wszystkim.

– Dajcie chociaż gacie nałożyć – protestował przekupień, kiedy tuzin krzepkich, stwardniałych od pracy na roli rąk schwyciło go i wywlekło ze stoga.

– Nie trza ich było ściągać – poradził mu serdecznie Paszko, starszy brat Honorci, i żeby radę wbić do łba, dobrze poprawił kułakiem. – Nikt cię tutaj nie prosił.

Dziewczyna chlipnęła głośniej niż wcześniej.

– Tak jest. Czarami mnie odurzył...

– Jako i wielu przed nim – rzucił z tyłu kąśliwie jakiś jaszczurczy jęzor, wystarczyło jednak, że Paszko pięścią pogroził (a pięść miał Paszko potężną), żeby złośliwości przycichły.

Jednakże wątpliwości co do cnotliwości Honorci w niczym nie poprawiły sytuacji przekupnia. Darmo się tłumaczył.

– Ludzie, ja za zarobkiem chodzę! – pokrzykiwał z rozpaczą, kiedy go do osady pędzili, gołego i poparzonego od słońca. – Lekki po wioskach sprzedaję i cudowne remedia. Skądżebym ja miał moce, żeby wam suszę zesłać?

Nikogo nie przekonał.

– Zarobić jeno chciałem – argumentował nieszczęsny. – Wiadomo, gdzie ludzie w biedzie, tam na remedia jest pora. Toć ja nadzieję wam niosę, nadzieję na losu odmianę, na bogów przebłaganie...

Chłopi pozostali jednak głusi.

– Cudowne źródółko – buczał pod nosem Szyszek, brzuchaty i nadęty jak wielkie, wściekłe trzmielisko. – Oliwa przez

mnichów święcona, żeby się w interesach szczęściło. Przebóg, co by to było, gdyby kiep każdy na świecie oliwą się posiłkował? Uczciwość by zaraz sczezła i zaufanie wszelkie.

I tak był porażony owym naruszeniem najświętszych praw w kupiectwie, że ani pamiętał o krzywdzie wyrządzonej córce. A Honorcia maszerowała obok niego, narzuciwszy siną chustę na ramiona, i czasami tylko zerkała przepraszająco na przekupnia.

– Wszystko na jaw wyjdzie – pohukiwał starczym głosem Kulas. – Wszystko się wnet okaże.

– Co się od czarów zaczęło, to się bez czarów dokończy – wtórował mu Osek, który wędrując po górach wiele ze starcami rozmawiał i znał starożytne obrzędy. – Ogień sam święty pomoże, co od Kii Krindara nam dany.

Tym razem rzecz się odbyła jeszcze krócej niż poprzedniego wieczoru. Handlarz trochę się stawiał. A potem trochę zarzekał, że czarów nijakich nie zna. Potem zaś przysięgał, że natychmiast je cofnie. Potem opata obwiniał, że go do złego namówił. Na koniec już tylko jęczał.

Lecz upał rankiem nie ustał.

* * *

Nie, następnego ranka w Dolinie panował skwar dotkliwszy niż wcześniej.

– Nie, to się musi wnet skończyć – gderała Rozalka, szorując o poranku sosnową posadzkę księżówki.

– Czy ten Waligóra zwariował? – zawtórował jej pleban, który cenił domowy spokój. – Czy on przyzwoitości nie ma?

– A skądżeby miał ją mieć? – ofuknęła go gospodyni. – Toć zbój.

– Ale zreformowany! – Dobrodziej uniósł palec gestem, który

nieodmiennie się sprawdzał podczas kazań. – I nasz, tutejszy, wioskowy.

Ale Rozalka tylko mocniej trzasnęła ścierką. Znała katalog proboszczowych sztuczek lepiej niżli on sam.

– Ajuści, że nasz – odparła sarkastycznie. – Akuratnie jak basior, gdy go do chlewiku zagnają. Też będzie jak świnia kwiczał, póki innych nie zeżre.

– At, dałabyś mi już spokój! – Pleban ze złością odepchnął dzbanek z piwem. – Co ja mam niby zrobić? Czego ty chcesz ode mnie? – Poderwał się zza stoła, ze złości siny na gębie. – Żebym się z wilkami wadził? Żeby i mnie rozszarpali?

Wymaszerował z izby, donośnie kłapiąc kapciami. Rozalka obserwowała go z przygryzioną wargą. W nocnej koszuli, krągły i spocony z gorąca, nie wydawał się wcieleniem dostojności i mocy. Czekala jeszcze chwilę, słuchając, jak się tłucze w ąlkowie.

Potem cisnęła ścierkę do wiadra, aż się woda rozchlapała, choć Rozalka nie cierpiała marnotrawstwa, a o wodę było bardzo ciężko w tym roku.

* * *

Wilżyńscy gospodarze starannie unikali swojego wzroku, kiedy następnego ranka zebrali się znowu pod studnią. Po prawdzie niejeden by wolał dzień cały w domu przesiedzieć. Tyle że Waligóry się bali. Bo Waligóra wydawał się rozjuszony jak rzadko.

– Poszli! – rzucił tylko współziomkom i Ortyla zdzielił przez gębę, choć ten bardzo gorliwie hersztowi przytakiwał.

Kmiecie zbili się w gromadę. Jak owce obiegane przez wilków.

Jeśli nawet sumienie ich gryzło po wyczynach wczorajszej nocy, strach podgryzał jeszcze bardziej.

Waligóra tymczasem poganiał nielitościwie. Wspinali się coraz wyżej, krętą ścieżką ku lasom, co porastały północnej krańce Doliny.

– Tam przecież nikogo nie ma – szepnął Szyszek do Szurleja, bo wspólna niedola przeważała nad zadawnionymi waśniami: zerkali teraz z niepokojem na herszta i pocili się zgodnie na poły od upału, na poły zaś ze strachu. – Toć nikogo tam nie złapiem.

– Chyba żeby wilka – zawtórował mu sąsiad. – Albo inszego biesa.

Nic jednak więcej nie odważyli się powiedzieć, bo Ortyl już na nich zerkał badawczo, usłużny i gotowy donosić każde słóweczko. Zresztą i oddech żał marnować na byle głupstwa, bo ścieżka była stromista i umęczyli się wielce, zanim ich wessał przyjazny cień lasu. Lecz w lesie też nic nie było. Ledwie ledwie osapnęli krzynkę, a już ścieżka zwęziła się, żeby niebawem całkowicie zniknąć. A Waligóra nie miał litości dla nieszczęsnych współziomków. Pędził ich przez chaszczę, pędził przez wadoły i zanim południe minęło, pnącza i tarniny poszarpały na nich przyodzievek i okrwawiły ich na gębach. Wkrótce skwar i knowania obcych wywietrzały ze szczętem skołatany wieśniakom z głów. Teraz marzyli tylko, żeby ujść z tego upiornego polowania z życiem.

Pewnie dlatego nie poczuli dymu. Ale Waligóra wywietrzył go od razu.

– Tu się, ścierwa, schowali – wyrzucił z siebie z triumfem.

– Już nam nigdzie nie zbiegną. – Ortyl zatarł ręce.

Ale się bardzo omylił, bo węglarze też się okazali nie w ciemną bicia i na dźwięk nadchodzących rozbiegli się nader gracko. Po prawdzie, wiele w tym zawinili wilżyńscy obywatele, bowiem, utrudzeni niezmiernie, brnęli przez las jak dziki i nie mniej czynili hałasu. Słowem, tyle tylko dopięli, że babę jedną schwycili, co przy ogniku przysnęła. A to nie poprawiło

Waligórze humoru.

– Węglarze są znane czarowce – rzekł przepraszająco Doliba. – Nic dziwnego, że zemkli.

Herszt, z głową przechyloną na ramię, lustrował zdobycz.

Niewiasta, którą wieśniacy bardzo zgrabnie spętali, też się na niego gapiła. Oczy miała czarne i dziwnie pałające – jak u czarnego koguta, mawiali potem kmiecie. A sukieneczkę czerwoną, poopalaną na boku, co był dowód bezsprzeczny, że wcześniej z ogniem broiła, zacnym ludziom na szkodę. Inny znak nieprawości miała wypisany na gębie. Bo kiedy się jej ludziska z bliska przyjrzel, ze zgrozą zoczyli cętki na jej skórze.

– Jak na salamandrę – mówił potem z przejęciem Osek, który wysoko w górach widywał różne cuda.

– Jakby jej kto żarem w gębę sypnął – zarzekał się Mały Sułek.

Słowem, dało się wyrozumieć od razu, że jest to persona wredna i z ogniowymi czarami na dobre spoufalona.

– A wszędzie wkoło ogniska, co przy nim baba siedziała – opowiadał Szyszek, bo też chciał mieć swój udział w tej bohaterskiej przygodzie – grzyby rosły. Czerwone takie, ogniste, że aż w oczy kłuło. I kręgiem jeszcze rosły, znać, że czart w nich niejeden tańcował.

– Co jest rzecz nadzwyczajna – skwitowała potem kwaśno Rozalka – że grzyby w lesie rosą, choćby i nawet kręgiem.

– Ale baba była wredna – upierał się przy swoim Mały Sułek.

– I skromności żadnej nie znała – dodawał Szurlej. – Jak ją Waligóra zagadnął, czemu wedle osady się kręci, to w gębę mu zrazu napluła i takim słowem zelżyła, że aż hadko powtarzać.

– W czym od naszych bab inna – uśmiechała się po lisiemu Rozalka. – Bo nasze baby cichutkie, a kiedy gębuchny otworzą,

to miód im szczery z warg cieknie, nic zupełnie innego.

Uch, żeby to nie była proboszczowej baba, radby ją jeden czy drugi kułakiem dobrze potrącił. Bo strasznie jakoś zhardziała po powrocie ze Spichrzy, co niebagatelnie zadziwiało kmieci. Nie tego oczekiwano po księżej gospodyni.

– No i zaczął ją Waligóra szarpać, ale tak z lekka, żeby jeno postraszyć – prawił potem wesoło Szyszek, zdumiony, że udało im się przydybać prawdziwą ogniową wiedźmę. – A ona, niecnota, od razu mu wysyczała, że przysła nas wszystkich zabić.

– Od razu się przyznała – entuzjasmował się Mały Sułek, który zazdrościł bratu i pokonania smoka, i jego ożenku z kasztelanką, więc rad był teraz niezmiernie, że wreszcie się może wykazać. – To ona tu pobroiła, węgle po Dolinie sypała, słońko zaklinała, żeby nas ze szczętem spaliło.

– Rodzaju ludzkiego najgorsza nieprzyjaciółka – żołądkował się Mały Sułek. – Wiedźma świata obmierzła. A jak jazgotała! – Kręcił z niedowierzaniem głową. – Toć trzeba ją było szturchnąć, ot, żeby moresu nabrała.

Na jednym szturchnięciu się nie skończyło, ale kmiecie jakoś niesporo zabrali się do zabawy, bo baba nadal żyła, kiedy pod wieczór przywleczono ją do wioski. Owszem, koszulinę na niej poszarpali, krew jej z gęby ciekła, a gęba tak opuchła od ciosów, że ledwo się dało rozróżnić rysy. Ale nie brakowało jej werwy i strachu też nie pokazywała po sobie. Rozalka aż się cofnęła, kiedy padło na nią spojrzenie ciemnych, pałających ślepi. Tylko Babunia Jagódka umiała tak patrzeć – z wściekłością i kpina zarazem.

W wiosce wszystko się potoczyło znajomym torem. Chłopi ją wyszturchali, dawni zbóje różgami otłukli, żeby winy swe wyznała jak najspieszniej, zaoszczędziwszy uczciwym obywatelom fatygi. Bo po prawdzie dosyć już mieli tej awantury i do domów im się cniło. Owszem, nadal się bali Waligóry, ale wiedźmy się bali, więc zapał do polowania słabł w nich coraz bardziej.

Nawet niespecjalnie ochoczo przyłączyli się do dalszego opilstwa, kiedy herszt zbójców kazał przytoczyć dwie beczki piwa z gospody, żeby należycie uczcić zwycięstwo.

On zaś ani próbował kryć radość. Wszak wreszcie dopadł złoczyńcę – babę, co wprawdzie pośledniejsza od chłopa, lecz z gęby należycie paskudną i z ogniem, jak trzeba, obeznaną. Któż od niej lepiej by wiedział, jak słońce do garnka przywabić i suszę na Dolinę ściągnąć? Toć zrazu widać, że winna.

I taki był w swym rozradowaniu hojny i pełen łaskowości dla bliźnich, że z własnej kiesy zapłacił za piwsko, choć mógł je przecież zabrać – pod nieobecność Babuni nikt by mu się nie przeciwiał. Trunku porządnie skosztował, kurz z gardła po całym dniu spłukał i tak się jakoś rozrzewnił, że i pojmanej trunku zadać kazał.

– Niechże się, nieboga, napije. – Ręką dobrodusznie machnął. – Łżej będzie jej potem zdychać.

Rozalka mówiła potem, że od razu wiedziała, że będzie z tego nieszczęście. Ortyl to samo gadał, że ból go straszliwy przeszył, kiedy do szmaty sięgał, co nią gębę babinie zatkali. Ba! – staruchy się zaklinały, że cała świątynia zatrzęsała się i zadygotała, kiedy uwolnili to złe, co w węglarce siedziało.

Otwarła gębę. Splunęła. Odcharknęła głęboko.

A potem spojrzała prześladowcom w twarz. I uśmiechnęła się.

– Ty jesteś Osek – odezwała się do owczarza, który przydyrdał spieszenie i kubek jej przytknął do gęby. – Owcze gromady prowadzasz.

Stary wyszczerzył poszczerbione zęby. W jakiś osobliwy sposób pochlebiała mu uwaga baby.

– Tu i tam je wiesz – ciągnęła lekkim tonem niewiasta. – Drogą i bezdrożem. Sam jeden wybierasz ścieżki. W górę i w dół. – Roześmiała się. – Do domu i w wilczy dół. Sam sobie

panem. Sam przewodnikiem. – Przechyliła głowę na ramię, zaświergoliła jak dziki ptak. – Byłeś tamtego dnia w górach, kiedy grasanci w Dolinę zeszli. Jak się mogło wydarzyć, że cię wyprzedzili na ścieżce?

Stary aż się cofnął, naczynie mu z palców wypadło, tak wiele było złości i przytłumionego szyderstwa w jej głosie.

– Ja nie... – wyjąkał. – Nigdy bym nie dopomógł... – urwał i ukrył twarz w dłoniach.

– Osuch by tego nie zrobił – parsknął z oburzeniem Szyszek.

Najzasobniejszy kmieć w wiosce roztropnie nie kosztował piwa – zbyt wiele go kosztowało poprzednie pijaństwo w gospodzie – i dobrze teraz rozumiał, co się tu może zdarzyć, jeśli ludzie, skończywszy z babiną, rzucają się sobie do gardeł. Od napaści grasantów minęło parę zim i nikt nie miał ochoty rozgrzebywać na nowo starych śmierci i zgliszczy. Niechże lepiej śpią sobie, jak pod kamieniem robactwo.

– Ciebie też znam. – Baba przymrużyła oczy, jakby z powietrza i wroniego krakania wyczytała jego myśli. – Szyszek, od jaśnie pana bogatszy i tłustszy od wielmożnego plebana. Szyszek, który zawsze wie, jaką dzierżawę podkupić i listy ma niezawodne od naszego zacnego władcy. Jeno że jak tutaj sprawdzić, kto piórem po pergaminie wodził, skoro władkę szlag trafił gdzieś tam we wielkim świecie? – Roześmiała się grzmiąco, aż gołębie poderwały się z dachów.

Chmura białych ptaków zatoczyła dwa zwichrowane koła nad wioskowym placem i w popłochu pierzchła do lasu. Nie wróżyło to dobrze. No, ale Waligóra nie oglądał się na znaki.

– Wy tutaj tak nie gadajcie – zaprotestował Mały Sułek. – Jeszcze się władca wróci, sami zobaczycie. A Szyszek człek pocziwy, po cudze by nie sięgał...

Szyszek jednak gapił się na babę z wytrzeszczonymi oczami, a

taki przerażony, jakby mu się spróchniała gałąź w ręku w gadzinę zamieniła.

Baba tymczasem obróciła się ku Sułkowi.

– Władyka może się wróci – wykrzywiła się z kpiną – ale nie za niego się modlisz, gdy się w postanie układasz. Nie dlatego płaczesz, a złość jak robak gryzie, spać ciemnąnocką nie daje. Nie dlatego wciąż chlejesz, dobro na gorzałę obmieniasz. Bo jakże niby tak? – Zaniosła się gwałtownym, suchym śmiechem. – Jednemu bratu panna piękna pisana, sława pogromcy smoka, zaszczyty i bogactwa, a drugiemu chleb czarny, harówka i nędza codzienna?

– Bom w niczym od niego nie gorszy! – wykrzyknął nienawistnie Mały Sułek, poczerwieniały raptem i spotworniały na gębie.

Aż trudno go było rozpoznać, bo oczy mu na wierzch wylazły, na wargach wystąpiła piana.

Węglarka nie odrywała od niego wzroku, nieomal podrygując z uciechy.

– A co się wam zdaje? – żołądkował się Sułek, którego milczenie sąsiadów bynajmniej nie skłaniało do pomiarkowania. – Że niby jestem gorszy? Że mnie się nie należy?

Najzasobniejszy kmieć w Dolinie poczuł, jakby mu się coś w brzuchu poruszyło. A konkretniej, jakby mu się cały kałdun skurczył. Ze strachu. I to bynajmniej nie przed Waligórą.

Oj, nie widziała mu się ta babina. Nie dlatego, że pyskata. Mało to ludzie gadają? Nie martwiło go również jej dobre rozeznanie w grzeszkach wilżyńskich obywateli, bo niejeden szpieg kręcił się po okolicy i węglarze, prócz wypalania drewna, mogli się parać również bardziej plugawym rzemiosłem i wieści dla grasantów albo i dla opata po osadach zbierać.

Tu skrzywił się, jakby pypcia na języku wyczuł. Nie lubił leśnego plemienia. Włóczyli się po górach, jak ich ścieżka

wiodła, nie pytając, czyje drewno palą, a Szyszek im więcej miał lasów, tym bardziej je cenił i nie zamierzał bez zapłaty wyzbyć się ani jednego pieńka. A przecież kradli nie tylko kłody. Tak, wszyscy w górach wiedzieli, że węglarz ukradnie choćby i księżycowy promień.

Ale tutaj nie szło o zwyczajną kradzież. Nie tym razem. Albo nie tylko o nią.

Złodziejstwo Szyszek rozumiał. Strach również. Ale przerażała go podstępna, utajona nienawiść, bijąca z tej kobieciny. Coś, czego inni jeszcze nie potrafili spostrzec. On jednak widział.

Nie darmo był najzasobniejszym kmieciem w Dolinie.

– Należy ci się, kochaneńki, należy. – Cętki odbijały się na skórze węglarki, jakby ją przed chwilą obsypano żarem. – I wedle należności dostaniesz, całkiem już niedługo.

Waligóra postąpił ku niej pomiędzy struchlałymi wieśniakami, rozganiając ich jak kurczęta.

– Jak i tobie, babo, zaraz się przydarzy – oznajmił ze spokojem. – Darmo straszysz i gdakasz. Nikt się nie przełęknie.

Szyszek uczynił krok w tył, a potem drugi i trzeci również byłby zrobił niezawodnie, gdyby nie oparł się z nagłą plecami o dorodne szydło w ręku Ortyła. Dawny zbój poruszył drzewcem, tak że ostrze prześlizgnęło się tuż obok grdyki kmiecia, i uśmiechnął się paskudnie.

Przebiję mnie, pomyślał w popłochu Szyszek. Wszyscy tu na dobre poszaleli. Jak wilcza sfora, kiedy poczuje krew.

Sam też ją wyczuwał. Nad placem zalegał ciężki smród posoki. Przekupień też cuchnął, kiedy go sprawiali, chociaż Szyszek upił się tak skrupulatnie, że właściwie nie pamiętał dobrze, jak się to wszystko skończyło. Ani co się stało z żebraczką.

Zresztą nie mógł przecież nic zrobić. Nic, powtarzał sobie w myślach. Nic, zupełnie nic.

Mimo to wędzonka i jajka, w obfitości pochłonięte przed wymarszem w góry, podchodziły mu teraz do gardła, a smród dusił jak dym.

Węglarka odrzuciła głowę. Purpurowe cętki zdawały się poruszać na jej policzkach, spływać w dół jak krople krwi.

– Boś z dawna przełęczniony – zadrwiła. – Waligóra, brat czarta, herszt zbójecki tak sławny, tak mieszczanom obmierzły, że żywcem go zakopawszy, na śmierć powolną skazali. Jednego wszak nie dopatrzyli. Że hersztem wiedźma owładnie, że na postronek go weźmie. Jak kozła.

Waligóra znieruchomiał nad nią, wielki jak góra i po gospodarsku suty w swoich butach z licowanej skóry, w portkach pasiastych i kubraku modrym, czerwonymi guzami przybranym, w czapce z piórkiem i z mieczem u pasa. Ani włos mu nie drgnął. I tylko ten bezruch osobliwy i zmrużone powieki świadczyły, że szyderstwo nie chybiło celu.

– Dobrześ się, wiedźmo, w okolicy rozpatrzyła. – Głos miał napięty jak struna. – Ale na darmo. Czas, żeby ci ten ogień, coś go na nas zesłała, z powrotem w gardziel wsadzić.

Szczuje nas, pomyślał Szyszek, zadziwiony, że pozostali nie widzą tej oczywistości i pozwalają, by baba wypowiadała słowa, których nie da się zetrzeć ani przytłumić przelewem krwi. Nie, raz wypowiedziane pozostaną na dobre. Ściekną pomiędzy w podwaliny świątyni i będą powracać podczas nabożeństw, kiedy gospodarze znów zasiądą godnie w swoich ławkach, w odświeżeniu wykrochmalonych koszulach, poważni i solenni jak należy. Nic się nie da cofnąć.

Ćmiło mu się przed oczami.

Węglarka tymczasem nie wyglądała na wystraszoną pogrózkami

Waligóry. Przeciwnie.

– Jeno czy to pomoże? – Uśmiechnęła się z lekceważeniem. – Czy się od tego na swobodę wyrwiesz? Zapomnisz, jak w nocy się budzisz, spocony od lęków jak myszka, bo twoje życie nie należy już do ciebie, bo ci je raz na zawsze wiedźma pospolita zabrała...

– Nie taka znów pospolita – wtrącił z przyganą Doliba, który wprawdzie rozumem nie grzeszył, jakoś się jednak czuł w swym patriotyzmie urażony. – Toć nasza. I najmocniejsza.

– I mimo jej całej mocy od skwaru nieledwie zdychacie?

– A tobie co zaś do tego? – ofuknął babę Ortyl.

– Bo my już swoje wiemy! – Kowlik przysunął się do niej, znacząco potrząsając widłami. – Wiemy, kto za tym stoi.

Wieśniacy wsparli go entuzjastycznymi okrzykami, pełni ulgi, że sprawa powraca na znajome, bezpieczne tory. Przekrzykiwali strach, podjudzając się wzajem do coraz większej wściekłości.

– Dobra, z gadaniem już basta. – Powszechny zapał zdusił dopiero Waligóra. – Trzeba się brać do roboty.

Choć wielu było za tym, żeby babę cepami zatłuc, zbójca postanowił rzecz rozwiązać godnie i wręcz zgodnie z tradycją. Węglarce gębę sprawnie znowu zatkano szmatami, choć wiła się jakoby piskorz i dalej gardłować chciała. Wyrrywającą się, powleczono ją prościutko do koniowiązu, gdzie życzliwe jakieś dusze naznosiły już potężną przygarść chrustu.

Szyszek, jak oczadziały, szedł za innymi. Starał się nie spoglądać na stertę drewna, choć przecież oczy mu same do niej biegły. A kiedy ogień zatańczył, zadygotał na chruście, nie potrafił już myśleć o niczym innym. Wbił się w gorącą, rozdygotaną, swojską od woni gorzałki i potu gromadę wieśniaków, pozwalając, by sąsiedzka bliskość otumaniła go bardziej niż trunek. Wyśmiewał się wcześniej z cherlaków, co

jak stare baby z kruchty garną się do innych i od sąsiadów wsparcia wyglądają. Różnił się od nich wszystkim. Sam, przemyślnością, której u siebie wcześniej nie podejrzewał, wydzwignął się ze zgliszczy, z nędzy i strachu, jakie pozostawili dezenterzy. Sam, zawsze sam.

A teraz nie potrafił trzymać się obok.

– Który kiep ognia skrzesał? – rozdarł się Waligóra. – Jakże teraz z babą będzie?

W gruncie rzeczy nie był jednak zły i powszechny zapach wyraźnie mu pochlebiał. Okrzepł podczas tych trzech dni, na nowo nabrał wigoru i taki się teraz wydał potężny i krzepki, jakby te zimy w niewoli u Babuni Jagódki opadły z niego bez śladu. Teraz, kiedy podstępna wiedźma – inna wprawdzie, ale co wiedźma, to wiedźma – została znaleziona, a chrust naszykowany, dawny zbójca przechadzał się pomiędzy wieśniakami niczym walny pan. Duma z niego aż biła, choć po prawdzie wilżyńscy obywatele poczynali sobie całkiem po partacku.

Bo jakże tak, myślał Szyszek, który by chętnie ziomków grubym słowem popędził, gdyby nie był zestrachany jak zajęć? Jako i z tą babą, rozmyślał dalej Szyszek, kiedy Waligóra pognął chłopów, żeby co prędzej zdeptywali ogień i stos na nowo składali. Jeszcze jej przy dylu nie uwiązali na dobre, a już ogień zażegli, ot, miejscowy pomysłu. Ale w wiosce wszystko zawsze tak szło. Bez rozmysłu, na oślep.

No, ale to właśnie Wilżyńska Dolina, skostatował cierpko. Nigdy tu nic nie będzie, dostatku, porządku ni poczciwości zwyczajnej. Będą się jeno kręcić wokół własnego chwosta, drzeć się i pojękiwać, a na sam koniec do wiedzy po pomoc pobiegną. Bo tylko tyle potrafią i nie uczą się więcej.

Węglarka przypatrywała się zabiegom chłopów, podrygując w więzach i krzywiąc się, ale Szyszek wyrozumieć nie potrafił, czy z uciechy, czy z grozy, bo miała gębę zatkaną kawałem brudnej materii.

Nikt się potem nie przyznał, kto jej tę gębę odetkał. Może sama knebel wypłuła albo szmatę zeżarła. Lecz nagle znów stała przed nimi, rozjuszona i harda.

Obróciła twarz ku najbliższemu z kmieci. Traf chciał, że był to Kowlik, który ją sznurem wiązał, a i skopał nielekkko. Coś było w jej spojrzeniu, w wykrzywieniu warg.

Coś złego, pomyślał Szyszek. Jakbyśmy nie my ją, ale ona nas prowadziła na kaźń.

– Boisz się – wysyczała węglarka, tryskając drobinkami śliny.
– Jak wtedy, kiedy cię matczyiny gachnocką w drewutni przyduszał. Nigdyś słowa nie pisnął. Jak pies do niego biegłeś, kiedy tylko gwizdnął.

Łysy dezterter cofnął się, w jednej chwili blady, jakby cała krew z niego uciekła. Gapił się w węglarkę z przeraźliwą zgrozą.

Ktoś z tyłu zachichotał cienko. Doliba, wiejski głupek, zanosił się śmiechem, sam nie rozumiejąc z czego. Głowa mu się aż trzęsła na chudej, wątłej szyi.

– A ty – węglarka obróciła się ku niemu z szybkością atakującej żmii – cienko, cieniuśko pieszczysz. Jako i matka twoja się darła, kiedy pod złodziejami i wszelką chanają nikczemną w zamtuzie się podścielała, jak żonie katowskiej przystoi. Pamiętasz to jeszcze? – zaklekotała zębami. – Katowskie nasienie, tak za tobą wołali...

Nic więcej nie zdążyła powiedzieć, bo Waligóra przypadł do niej i własną czapkę w gębę jej wraził, że się mało co nie zadławiła.

– Dalejże! – ryknął. – Gałęzie migiem układać.

Lecz stos, raz zdeptany, nie dawał się łatwo znów złożyć. Chrust nie chciał się palić, dymem w oczy kręcił, choć nieledwie przed chwilą buchał jasnym płomieniem.

Kmiecie zerkali spod opuszczonych powiek na węglarkę, która tkwiła pomiędzy nimi w okrwawionym odzieniu jak ciemna figura grozy.

– Nieczysta jakaś siła – mamrotał Kulas.

Waligóra miotał się wokół stosu, iskry krzesiwem krzesał, mech wyschnięty podkładał. Wszystko na darmo. Gałęzie nie chciały się palić. Za nic nie chciały i już.

– Bo to obraza boska – dogadywała od progu księżówki Rozalka, która wobec tej oczywistej boskiej interwencji gwałtownie nabrała odwagi.

– Wiedźma też stosów nie kocha – burknął pod nosem Szurlej. – A może to jest jej sprawka?

Wszyscy, którzy go słyszeli, jęli natychmiast przedreptywać z nogi na nogę i rozglądać się niepewnie. Owszem, w pewnej bliskości ognia wiedźma stawała się drażliwa. A Babuni Jagódki nie należało drażnić, oj nie. Każdy, kto wystarczająco długo popasał w Wilżyńskiej Dolinie, był tego aż nazbyt świadom.

Ale wiedźma figlowała teraz z pachółkami w miasteczku. A Waligóra był blisko. Można rzec nawet, za blisko.

Krzątał się, chrustu podrzucał, przeklinał przy tym siarczyście.

– Można olejem świętym podlać – doradził mu ktoś zza pleców.

– I jeszcze plebanowi zapłacić? – zachnął się zbój siarczyście. – Furda święte oleje i modły wasze furda. – Pochylił się i gmerał kijem u nasady stosu, gdzie pełgał słabiutki płomyk. – Tu chrustu więcej trzeba, ot i tajemnica cała.

Jak na złość akuratnie w tej chwili ogienek zgasł. Zbójca podskoczył ze złości.

– Chrustu więcej, powiadam! – rozdarł się na całe gardło. – Ogień mi krzesać, a żywo!

– Tak może? – usłyszał za sobą, blisko, tuż za ramieniem.

Nie zdążył się jednak obejrzeć, bo płomień buchnął mu w twarz, aż czuprynę osmalił. Stos zajął się w jednej chwili, wystrzelił popod niebo, zmieniając gromadę wieśniaków w czarny kontur, obrębiony nocą.

Ktoś rozdarł się ze strachu.

Ktoś inny jak pies zaskowytał.

Rozalka w drzwiach do księżówki ledwo nadążała kreślić znak odpędzający złe moce.

Babunia Jagódka zrzuciła podróżny kaptur i wyprostowała się, zwróciwszy się ku wilżyńskiemu ludkowi. Kapka na końcu jej nosa trzęsła się i podrygiwała.

– Hę?! – zapytała rozgłośnie.

Kmiecie skulili się odruchowo. Ci, co stali najdalej od stosu, natychmiast jęli się delikatnie usuwać w cień. Niby wiedźma wszystko wiedziała i mogła się całej zabawie dobrze zawczasu przyjrzeć, lecz zawsze warto spróbować. Ostatecznie i Babunia Jagódka może czasami przysnąć.

Teraz jednak wydawała się rześka nad podziw. Chustkę w czerwone róże na tył głowy zsunęła, więc tym wyraźniej pałały jej wściekłe, bursztynowożłote ślepia, a nos wydawał się jeszcze bardziej krzywy niż zwykle.

– Igrów się wam zachciało? – Wsparła się popod boki. – Pohulać sobie chcieliście?

Waligóra przekreślił się ku niej. Powoli. Powoluśku.

– Nie twoja, babo, sprawa – warknął.

Kmiecie pospuszczali oczy. To była porządna osada, mąż z żoną się tu nie kłócił i pasem nie garbował ślubnej, póki drzwi dobrze nie zaparł, okiennic nie zaryglował. A Waligóra i wiedźma... Cóż, z dawna się szykowali do oczu sobie doskoczyć. Ale nie musieli w to, doprawdy, całuskiej wioski wciągać.

– A tyś wciąż, moiściewy, głupi. – Wiedźma uśmiechnęła się z pobłażaniem. – A czyjaż, jeśli nie moja? Kto wioskę z gruzów podnosił? Kto wieśniaków piastował? Kto zbójów precz przepędził? Wreszcie kto ciebie, niebogo, z opresji ciężkiej salwował, kiedy cię rodacy serdeczni żywcem ziemią przysypali?

– A nasza własna! – huknął Waligóra, który bynajmniej nie zamierzał odpuścić i wiedźmia magia nie czyniła na nim najmniejszego wrażenia. – Bośmy się własną wolą powodować winni i własnego rozumu słuchać.

Wymachiwał rękami, wielki i rozjuszony, naprzeciw starowinki, która wyglądała na tak kruchą, że mógłby ją, jak suchą gałąź, w rękę przełamać.

– I rozum własny ci podpowiedział – dociekała ze zwodniczą łagodnością wiedźma – żeby tu po okolicy na nędzarzy polować i w ogień ich ciskać?

Wieśniacy nie wiedzieli, gdzie się podziać. Niby wiedźma nic straszego nie robiła, ot, przekomarzała się trochę, a że język miała jadowity, to trudno. Sęk w tym, że nie były to zwyczajne sąsiedzkie figle i pogwarki. Jeśli jej ktoś zanadto przygadał, następnego dnia krowom mleko w wymionach kwaśniało, a w jajach kurzących robaki się lęły. Babunia Jagódka ceniła dowcip, a jakże. Jednakże wyłącznie własny.

A Waligóra, jak na złość, dobrze umiał się odciąć.

– A co tu – prychnął ze złością – wszystko, z żebraczkami łącznie, po lasach policzone? I wasze wszystko, kleszczy i zajęczych bobków nie wyłączając? Inwentarze w chałupie trzymacie, ile borsuków w norach, a na drzewach dzięciołów?

– I grzybów pod drzewami ile – dorzuciła złośliwie Babunia. – Osobliwie liczę rydze.

Waligórze na gębie wystąpiły ceglaste plamy: kiedy go wiedźma znalazła, miał na łeb nasadzony grzybowy kapelusz, pachółkowie weń go ustroili, żeby dodatkowo upokorzyć przed śmiercią. Bardzo nie lubił, kiedy przypominano, jak wiedźma uratowała mu życie. Jeszcze bardziej nie lubił pamiętać, że zaraz później mu je bezwzględnie ukradła.

– Tedy się rydzów trzymajcie – burknął. – A nam złoczyńców zostawcie, co suszę przeklętą na nas ściągnęli. Skoro już nic innego poradzić nie umiecie – dodał, bo wiedźma jedynie uśmiechała się z drwiną. – Wiedźma jak grzmot, a z nami co? Najgorzej się nam wiedzie w całej okolicy.

– Ajuści – pisnął ktoś cienkim od przepicia głosem i pewnie jedynie z tego przepicia zebrał się na odwagę, bo zwykle nikt wiedźmie w oczy wyrzutów nie czynił. – Deszcz wszędzie pada, wszędzie pola zielone, jeno nie u nas.

Wiejska gromada zaszemrała z niechęcią. Niby wyklinali wiedźmę, krzywo na nią patrzyli, jeśli się w biały dzień do wioski zapuściła, ale przecież w skrytości ducha liczyli na jej opiekę. Ostatecznie nie bez przyczyny odbudowała wioskę. Jeśli zaś ich ocaliła, to przecież chyba nie po to, żeby potem zaniedbywać ze szczętem. Tak, wilżyńscy obywatele, chociaż nie wypowiedzieliby tego głośno, mieli wiedźmie za złe jej niefrasobliwość. Mogła się bardziej przyłożyć. Istnieją przecież sposoby, żeby wodę wywołać, chociażby i z kamienia, tedy i na chmury też da się coś poradzić.

– A wam się akuratnie na łajdactwo zebrało. – Waligóra, który świetnie wyczuwał nastroje ziomków, uśmiechnął się z satysfakcją. – Niby jak jedna rodzina w kupie sobie żyjemy, że aż nas ta bliskość uwiera, ale kiedy bieda, co wy znienacka robicie? Ano nic! – Triumfująco wyciągnął w górę palec. – W gospodzie z parobasami się szlajasz, wywłoko chutliwa ty

stara

– A tobie od oskomy ślina po brodzie cieknie – wtrąciła nie bez zadowolenia wiedźma. – Jeno nie wiadomo, czego bardziej żał, czyli tej karczmy, czyli parobasów.

Zbój pochylił się ku niej, wielki i rozjuszony, i już ręce wyciągał, żeby za szyję pochwycić.

Babunia roześmiała się sucho.

– Żał, hę? – ni to zapytała, ni to zakpiła, po czym wyciągnęła palec, chudy i krzywy od podagry, i znienacka bodnęła go w kaftan.

Pojedyncza iskra wystrzeliła z poczerniałego paznokcia i ugodziła mężczyznę w pierś, po czym wspięła się szybciotko po żebrach, przebiegła po grdyce i raptem rozbłysła płomieniem w brodzie.

Mężczyzna jął przeklinać i skakać, usiłując ugasić ogień, a wiedźma śmiała się, nieledwie kwicząc z uciechy. Po kolanach się biła, przytupywała dziarsko, póki Waligóra się ugasił ognia.

– A żebyś, cholero, szczęła! – pożyczył jej z głębi serca.

Brodę miał zmarnowaną ze szczętem i po prawdzie wyglądał jak kura, kiedy ją nad paleniskiem opalał. A popleczników stracił jeszcze więcej niż włosów. Bo przemyślni wylżyńscy kmiecie od razu zrozumieli, na czyją się stronę zwycięstwo przechyli i zapał do rozpalania stosu gwałtownie w nich osłabł.

– Niedoczekanie, nicponiu. – Wiedźma wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie. – Będę żyć, chłać, żreć, łajdaczyć się i bawić, ile wlezie. Nie powstrzymają mnie twoje dąsy. Ale wiesz, co, chudzino? – Roześmiała się cienko. – I tobie nie poskąpię. Połajdacz się, wszak masz żonę, i gorzałki się napij, to na nudę rzecz pewna. Jeno od ognia uciekaj, bo ci, nieboraczku, nie służy.

Znów zaczęła się śmiać. Kilku największych wioskowych pochlebców przyłączyło się do niej usłużnie.

– Co i inszych się tyczy – osadziła ich prędko. – Stosów tutaj nie ścierpię, osobliwie partackich.

– A nie mówiłam? – wrzasnęła z szanca księżówki nieulekła Rozalka. – Kury wam, pijusom, macać, a nie wiedźmobiecie urządzić.

Stała, w bieluśkim czepcu i wykrochmalonym fartuchu, jak uosobienie ziemskiej sprawiedliwości. W rękę trzymała warząchew.

– Biedną, starą nędzarkę złapać – ciągnęła księża gospodyni. – Przygłupią przy tym biedaczkę. Wstydu, chamy, nie macie.

– Bogowie wszystkich osądzą! – rozdarł się z okienka pleban, który wprowadzie i wcześniej przyglądał się zbiegowisku, ale dopiero teraz ośmielił się wychylić nosa.

Ale wiedźma nie doceniała wsparcia. Chyba nawet go nie spostrzegła.

– A niech jednego z drugim znowu przy chruście przydybię, to łby poukręcam! – wołała, przechadzając się rześko przed struchlałymi chłopami. – Albo nad płomieniem zawieszę i jak kiełbasę uwędzę – zagroziła na końcu, ale zupełnie bez potrzeby, bo ogień już całkiem wygasł.

Jeszcze zanim popiół poczerniał, Waligóra zrozumiał, że przegrał. Powyklinał jeszcze chwilę, wiedźmie gwałtownej śmierci życząc, ale jakoś bez zapału. Może i jego opadło wreszcie zmęczenie.

Bo skwar wciąż doskwierał okrutnie, nic od kmiecich mozołów nie zelżał.

Chłopi, zniechęceni, rozłazili się powoli do swoich zajęć.

– No sio, sio! – poganiała ich wiedźma.

Na środku placu pozostała jedynie żebraczka, którą ktoś w tłumie obalił na ziemię. Leżała całkiem cichutko. Z rozciętego policzka krew jej ściekała w piasek.

Rozalka z namysłem wychynęła z księżówki. Chwilę pochrząkiwała niepewnie, niezdecydowana, co zrobić, aż wreszcie ostrożnie podeszła do wiedźmy.

– Trza się biedaczką zająć – rzekła litościwie, pochylając się nad węglarką. – Umyć ją trochę, odkarmić, a potem w drogę wyprawić. Niepoczciwie gadała – gospodyni plebana konfidencjonalnie zniżyła głos – uch, jak niepoczciwie. Aż strach było słuchać.

– Więc pewno wszyscy słuchali – zauważyła wiedźma. – I uszy wyciągali, by słówka nie uronić.

– Ale ze strachu tak plotła – dowodziła Rozalka, która była pocziwą niewiastą. – Ani chybi ze strachu. Jenó że ludzie się sierdzą... – dodała po chwili nieśmiało. – Sami rozumiecie, Babuniu.

– Aż zanadto rozumiem – odpowiedziała wiedźma.

Ale jakoś zbyt ostro, jakoś przesadnie surowo. Aż się Rozalka przełękla, czy wiedźma może wciąż się o stos gniewa. Oj, trzeba jej będzie teraz, pomyślała z przestachem, z drogi przez parę dni schodzić, bo znów coś narozrabia.

– Na plebanie ją wezmę – zadeklarowała – i w górnej izbie przechowam. U nas nikt jej wszak nie tknie.

Mina plebana była tak kwaśna, jakby się ogórcowego kwasu ożłopał. Nie protestował jednak. Nie miał śmiałości. Sam się nie umiał rozeznać, która z bab na podwórku większą budziła w nim grozę.

– A nie trzeba, nie trzeba. – Wiedźma pochyliła się nad

sponiewieraną węglarką. – Już ja się nią zajmę.

Rozalka zawahała się. Ton Babuni Jagódki nie wróżył nic dobrego, choć zupełnie nie pojmowała, o co chodzi. Stała jeszcze moment dla czystego sumienia, a potem ustąpiła przed przemocą. Z wiedźmą nigdy nic nie wiadomo, pomyślała, po czym z ulgą zaparła drzwi. Ostatecznie spełniła swój obowiązek.

Obowiązek był w życiu Rozalki najważniejszą rzeczą. Zaraz po plebanie.

Wiedźma odczekała jeszcze chwilę, znacząco spoglądając ku okienku księżówki. Pleban poddał się pierwszy. Zatrzasnął rygiel na okiennicy i począpał do alkierza.

W Wilżyńskiej Dolinie o wielu rzeczach lepiej było nie wiedzieć. Każdy to wiedział.

Babunia Jagódka pochyliła się nad węglarką. Pogapiła się chwilę. Trąciła starowinę trzewikiem. Solidnie.

– No, dość tych szutków – nakazała.

Babina z ociąganiem podniosła się z ziemi. Wydarła z gęby szmatę. Odchrząknęła i splunęła serdecznie.

– Nie mogłaś trochę się spóźnić? – burknęła.

– Parobkowie teraz słabi. – Wiedźma westchnęła z przyganą. – Znudzi mi, a miejskie wywczasy wraz z nimi. Ale tyś się, widzę, ni krzyny nie nudziła.

Węglarka uśmiechnęła się leniwie.

– Ano, skwar. Każdy rozrywek szuka. Jeno każdy innych.

Babunia Jagódka zacięła wargi.

– Ano wiem. Ale od mojego dobra z daleka się lepiej trzymaj.

Babina zaśmiała się. Nadal siedziała na ziemi. Podwinięta

spódnica odsłaniała chude, posiniaczone nogi.

– A coś ty, od reszty z nas lepsza?

– Może jeno potężniejsza ździebko.

Węglarka znów ochrzęknęła. Splunęła krwawą śliną.

– Prawie mi się udało – zauważyła. – Jeszcze trochę krwi, jeszcze trochę ognia, i zapłonęłabym, jak się patrzy. Byłoby ognisko aż pod samą Spichrzę.

Wiedźma wzruszyła ramionami.

– A cóż za sztuka nieszczęśników podejść? Każdej bredni się chwycą.

Babina podniosła się z klepiska, otrząsnęła jak brytan. Kiedy znowu się wyprostowała, jej skóra płonęła krwistą, wilgotną czerwienią świeżych oparzeń.

– Wydawał się kontent – zauważyła. – Twój gach. Kontent i gotów do czynu.

Babunia Jagódka uśmiechnęła się. Sztachety Rozalczynego ogródka jęły jękliwie pękać od tego uśmiechu.

– Gotów, to i co z tego, że gotów? – zapytała ostro. – Tu nikt nie będzie mącił. Ani ty, skoro o tym mowa.

Węglarka od niechcienia kopnęła kępę trawy i spomiędzy źdźbeł, razem z grudkami ziemi, wtrysnęła ruda polna mysz. Zwierzątko zatoczyło w powietrzu łuk, przekoziółkowało, a potem w pędzie zajęło się płomieniem. Babina dmuchnęła i popiół sypnął Babuni Jagódce prosto w twarz.

– A wszędzie indziej wolno? – zainteresowała się fałszywie węglarka. – Niech się Góry Żmijowe ogniem żywym zajmą, byle tutaj kmieciom kapusta obrodziła?

Wiedźma wzruszyła ramionami.

– Góry Żmijowe wiele jeszcze zniosą. Ale ja już niedużo. Zbieraj się, Ognicha. Nic tu już nie wskórasz.

Oszpecona kobieta zebrała na ramionach łachmany.

– Może nie tym razem. Ale wrócę. Ja albo ktoś inny – roześmiała się.

Rozrzuciła ramiona i zawirowała, a trawy wokół niej poruszyły się i gałęzie zakołysały się w tym samym rytmie. Potem podniósł się wiatr, zaklekotał okiennicami, zwichrzył czuby drzew. Przez moment węglarka stała pośrodku wiru, ukręconego z piasku, zawieruchy i czerwonych płomyków. Niektóre odrywały się z jej włosów i wirując, unosiły się ku ciemnemu niebu, inne opadały i toczyły się po piasku i żwirze jak drobne purpurowe ziarenka. Nie trwało to jednak długo. Zaledwie kilka uderzeń serca.

– Nie utrzymasz tego na zawsze. – Węglarka, kimkolwiek naprawdę była, wychyliła się ku wiedźmie. – Nie wystarczy pomalować płoty i spędzić z traktu grasantów, w sukmany ich poprzebierać. Wszystko spłonie. – Oblizała wyschnięte wargi. – Jak słomiane kukiełki.

Babunia Jagódka milczała.

Od strony proboszczowego kurnika ostrożnie wychylił się krępy, czubaty kogucik. Grzebieniem zatrząsł, łypnął przebiegle czarnym oczkiem, po czym hycnął znienacka ku ognistemu ziarenku i dziobnął je z rozkoszą.

– Dlaczego miałabyś mieć lepiej od nas?! – rozdarła się wściekle węglarka. – Dlaczego twoje schronienie ma trwać? Nikt tu nie zasłużył na litość.

Wilżyńska wiedźma nie odpowiedziała. Odstąpiła tylko kilka kroków, czyniąc obcej niewieście przejście.

Kolejne kury wybiegały ukradkiem zza płotu i gdacząc z cicha, dziobały w piasku.

Węglarka zawahała się. Chciała coś jeszcze powiedzieć, tchnąć w przeciwniczkę mocą, ale na koniec zgarbiła się tylko i powłokła w stronę lasu. Kiedy mijała Babunię Jagódkę, pochyliła ku niej wąską, gadzią twarz.

– Jest ogień, choćby w kamieniu – wysyczała. – Płomień, nawet uśpiony, śpiewa, syczy o zniszczeniu. Twoi wieśniacy go słyszą i kiedyś – głęboko, ekstatycznie wciągnęła powietrze – och, kiedyś powrócisz za późno.

Nie zatrzymała się jednak. Mozolnie wlokła się pomiędzy chałupami, znędzniała znów i przygarbiona w wieczornej ćmie. Kolejna wilżyńska awantura dobiegła kresu i na polu bitwy pozostało jedynie rozdokazywane stadko drobiu. I tylko liście wierzb, które zajmowały się nad głową węglarki płomieniami świadczyły, co właśnie wydarzyło się i co jeszcze mogło się wydarzyć w Wilżyńskiej Dolinie.

KONIEC

Autorka: Anna Brzezińska

Źródło: [Wilżyńska Dolina](#)

Licencja: [CC BY-NC 3.0](#)